

Israel Jehoszua Singer

przełożyła z jidysz i angielskiego **Monika Adamczyk-Garbowska**

Źródło: Akcent 2003 nr 3 (93), s. 29-35

O świecie, którego już nie ma (fragmenty)

Pierwsza jazda koleją i cudowne rzeczy, które mi się przytrafiły

Wielkim wydarzeniem dla nas, dla mnie i mojej starszej siostry, były podróże z matką latem w odwiedziny do jej rodziców w Biłgoraju.

Po pierwsze mama chciała zobaczyć rodzinę, po drugie uwolnić się od ponurej atmosfery Leoncina, gdzie czuła się osamotniona. Po trzecie istniały względy natury praktycznej. Bez nas ojciec mógł oszczędzić trochę pieniędzy z otrzymywanych co tydzień czterech rubli i spłacić długi nagromadzone podczas zimy.

Wydaje mi się, że ojciec nie miał nic przeciwko naszym wyjazdom. Zmęczony był codziennymi zmaganiem o zapewnienie nam bytu, ciągłymi oskarżeniami matki o to, że nie przystąpił do urzędowego egzaminu na rabina. Przynajmniej przez kilka miesięcy mógł znaleźć nieco wytchnienia. Kobiety w miasteczku bardzo chętnie gotowały i sprzątały ojcu w czasie nieobecności matki. Jego pogodna natura była dla nich jak balsam w porównaniu z lodowatym dystansem, jaki cechował matkę. Chętnie brał udział we wszelkich uroczystościach, nawet w domach ludzi o dużo niższej pozycji społecznej. Nikogo nie traktował z góry, wszyscy byli dla niego równi i nie czynił tego po to, aby zdobyć popularność czy zasłużyć na podziw, lecz z autentycznej sympatii do ludzi, wynikającej także częściowo z jego naiwności (...)

Matka wiedziała, że zostawia ojca w dobrych rękach i kiedy tylko robiło się ciepiej wynajmowała furmankę, która zawoziła nas nad Wisłę, gdzie chłop zabierał nas łodzią na drugą stronę rzeki, skąd odchodziły parowce do Warszawy. Stamtąd jechaliśmy pociągiem do Lublina, albo nawet dalej, do Rejowca, miasteczka w lubelskiej guberni, skąd wlekliśmy się do Biłgoraja. Kolej nie dochodziła do samego Biłgoraja, podobnie jak do większości miasteczek w guberni lubelskiej, jako że leżały blisko granicy austriackiej i carscy generałowie uważali, iż linia kolejowa tak blisko granicy byłaby niebezpieczna ze strategicznego punktu widzenia. Dlatego pociągi

docierały jedynie do Rejowca. Drogi w tych stronach znajdowały się w opłakanym stanie - pełne wertepów i dziur - i cudem było przetrwanie podróży przez ten teren zwany przez Żydów „włóściami ubogiego króla”. Ale wszystko to niewiele mnie obchodziło, jako że byłem zachwycony samą możliwością odbycia podróży.(...)

Podczas wsiadania do wagonu trzeciej klasy panowało wielkie zamieszanie. Pasażerowie przepychali się, rzucali tobołki, robili kaśliwe uwagi. Żandarmi i konduktor złorzeczyli na wszystkich. Matki gubiły dzieci i wpadały w histerię (...) Moja matka z obrzydzeniem patrzyła na ten tłum, ale dla mnie była to czysta rozrywka. Jednocześnie nie zapominałem o tym, żeby wyrzeć przez okno i dostrzec skrawek lasów, pól, wiosek, słupów telegraficznych i chłopskich chat, które umykały z niewiarygodną szybkością.(...)

Kiedy dotarliśmy do Rejowca, zaraz otoczyli nas furmani z Biłgoraja. Cała chmara Żydów z batami w rękę chwyciła za nasze pakunki, każdy próbował przyciągnąć nas do swojego wozu.

- To co, jedziemy?

- Tylko napoimy konie i hajda! (...)

Piaszczyste polskie drogi były biedne i płaskie, ale mnie wydawały się najpiękniejsze na świecie. Krowy pasły się na poboczach, na łąkach hasały żrebaki. Chłopi pracowali na oblanych słońcem polach. Pozdrawialiśmy ich po polsku:

- Szczęść Boże!

- Bóg zapłać! (...)

Wkrótce znaleźliśmy się pośród lasów, gęstych lasów hrabiego Potockiego. Chociaż roilo się tam podobno od zbójców, przyjemność wdychania leśnych woni, słuchania śpiewu ptaków i poddania się tajemnicy puszczy, mimo obaw nappełniała przyjemnym podnieceniem.

O świcie minęliśmy jakieś miasteczko, gdzie Żydzi spieszyli z tałasami na poranną modlitwę. Zatrzymaliśmy się w karczmie na łyk gorącej herbaty zagryziony gorącym cebularzem z makiem, który to przysmak wypiekano tylko w lubelskiej guberni i który nie miał sobie równych. (...)

Przeróżne rzeczy zdarzały się na piaszczystych wertepach, przez które toczyliśmy się całą noc i cały dzień. W końcu dotarliśmy do Biłgoraja. Kobiety poznawały matkę i witały ją radośnie.

- Nie do wiary, kogo ja widzę, Szebele¹ rabina - wykrzykiwały szczypiąc się w policzki z podniecenia.

1 Zdrobienie od Batszeby - przyp. tłum.

Uczniowie chederu pobiegli zawiadomić babkę o przybyciu gości.

Zaczął się całowanie i ściskanie. Wszyscy mnie obcałowywali - babka, ciotki i krewne, nawet Etel Neche, która od lat służyła w domu dziadka. Następnie przyszedł do kuchni z izby rabinackiej dziadek i powitawszy mnie, zapytał o postępy w nauce. Zaraz potem zjawiała się kolejna zgraja wujków, ciotek i kuzynów. Wszyscy mówili naraz i wypytywali nas o różne rzeczy. Babka, maleńka kobietka w jedwabnej chustce na głowie, długich dyndających kolczykach i z pękiem dźwięczących kluczy i kluczyków u fartucha biegała od kredensu do kredensu przynosząc przeróżne dobre rzeczy, pierniki, różne ciastka i bułki, słoiki z konfiturami i butelki z sokiem... Próbowałem wszystkiego, mimo że matka ostrzegała mnie, żebym nie był żarłokiem i zostawił sobie miejsce na kaszę i rosół. Tak jakby mi kiedy nie dopisywał apetyt! Po długiej podróży mógłbym zjeść nawet te trzy konie, które ciągnęły furmankę.

Potem zaczęli nadciągać goście, przeróżne matrony w jedwabnych chustkach na głowach, żeby zobaczyć matkę. (...)

Pierwszy szabas po naszym przybyciu zaczynał się jak wesele. Co parę chwil wpadała jakaś dziewczyna z talerzem kugla, rodzyneków i migdałów czy struclą i oznajmiała: - Cieszcie się waszymi gośćmi, rabinowo. Mama przysłała gościniec. (...)

Babka dawała przybyłej jakieś słodkości na drogę mówiąc: - Życzę szczęścia. Oby Bóg dał, abyśmy wszyscy radowali się razem z tobą pod chupą. (...)

Dziewczyna oblewała się płomiennym rumieńcem i szybko wybiegała.

Różni wujkowie i ciotki zapraszali nas na kidusz, a ja próbowałem wszystkiego, objadając się do granic przyzwoitości. Potem wujowie pytali, co porabia Pinchas Mendel, czyli mój ojciec. Uśmiechali się przy tym tak, jak uśmiecha się ktoś pytając o jakiegoś członka rodziny uważanego za niedorajdę. Denerwowały mnie te uśmieszki i ich zbyt poufałe mówienie o moim ojcu, który był przecież rabinem. Ale nie zaprzątałem sobie tym długo głowy - cieszyłem się nowym miastem, chłopcami, którzy przyjęli mnie do swojej paczki, a przede wszystkim domem dziadka pełnym dzieci, wnuków, kuzynów i gości. Zawsze się tam coś działo; samowar bez ustanku bulgotał, a ludzie popijali herbatę, zagryzając tym i owym. (...)

Mój dziadek despota i zbuntowana babka

Od pierwszego spotkania byłem oczarowany osobowością dziadka. Chociaż oczywiście wtedy nie pojmowałem jeszcze, jak wielką odgrywa rolę, mimo to czułem jego siłę.

Dziadek był wysoki, miał czarne przenikliwe oczy, szlachetną aczkolwiek surową twarz, siwą brodę i pejsy oraz smukłą sylwetkę. Miał ostry język, choć niewiele mówił, budząc tym respekt. Nie wiem dlaczego, ale bałem się go od pierwszego wejrzenia jednocześnie darząc go miłością. Nie byłem odosobniony w tych uczuciach - większość Żydów w Biłgoraju lękała się go i kochała, podobnie jak jego dorosłe dzieci. Jego synowie i córki bali się do niego odezwać, a on rzadko z nimi rozmawiał, nawet z najstarszym synem Josefem, który był od niego młodszy zaledwie o szesnaście lat i pełnił w miasteczku funkcję dajana, pomocniczego rabina. Za każdym razem, kiedy wuj Josef musiał wejść do izby ojca, oblewał się potem niczym oskarżony przychodzący po wyrok surowego, aczkolwiek sprawiedliwego sędziego.

Jedyną osobą w domu, a może i w całym mieście, nie obawiającą się dziadka była moja mała i zwinna babka, której końce jedwabnej chustki zawsze furkotały pod brodą. - A on niby kto, cesarz? - besztala swojego najstarszego syna, kiedy chodził w tę i z powrotem zbierając odwagę, żeby stanąć przed obliczem ojca. - Idź, idź, przecież ci nie sprawi lania...

Przez całe życie buntowała się przeciwko władzy męża, z którym została zaręczona jako dwunastoletnia dziewczynka z zamożnej rodziny. Prosta kobieta, której ambicje intelektualne nie wychodziły poza podstawowe modlitwy i napisanie listu w łamanym jidysz, kpila sobie z uczości męża i jego surowej, męskiej natury. Najbardziej nie mogła mu wybaczyć jego małomówności. Przez całe lata ledwo co zamieniał parę słów z kobietą, z którą miał pół tuzina dzieci. Od samego dnia ślubu, który nastąpił gdy ona miała czternaście a on piętnaście lat, ich życie toczyło się własnymi drogami. On już wtedy znany był jako „maciejowski geniusz” toczący uczone debaty z rabinami, podczas gdy ona była prostą dziewczyną, która nawet po ślubie dalej bawiła się szmacianymi lalkami, przynosząc wielki wstyd własnej matce. Młodzi nie mieli wspólnych tematów. Bo o czym mogli rozmawiać? O nauce? O judaizmie? Aby temu jakoś zaradzić, zaczęli płodzić dzieci. Babka urodziła pierwszego potomka w wieku piętnastu lat; później co rok pojawiała się kolejne dziecko. W wieku osiemnastu lat dziadek był już rabinem, najpierw w Porycku, potem w Maciejowie, a w końcu w Biłgoraju. Jego wiedza i mądrość stale rosły, podczas gdy babka pozostała zwykłą gospodynią oddaną dzieciom, obowiązkom domowym i prostej wierze. Dziadek miał swój bet din, czyli sąd rabinacki, swoją Torę, sprawy gminy, gości i petentów; babka zarządzała wielką kuchnią, piecem, spiżarniami i komorami. Między izbą rabinacką a kuchnią była sień, w której stała wielka beczka z wodą, ale to wąskie przejście dzieliło męża i żonę bardziej niż ocean. Żyli w dwóch odrębnych światach. (...)

Pozostałe dzieci czuły się w towarzystwie swego ojca nawet bardziej nieswojo niż Josef i wołały spędzać czas w babcinej kuchni. Kiedy dziadek od czasu do czasu się tam zjawiał po swojego szamesa, Szmula, który wypijał morze herbaty z jedną kostką cukru, wszystkie dzieci

i wnuki zrywały się na równe nogi i zastygały w bezruchu niczym żołnierze podczas niespodziewanej inspekcji generała.

Dziadek rozmawiał z córkami równie rzadko jak z żoną, wyjątek czyniąc tylko dla mojej matki - zwłaszcza kiedy przyjeżdżaliśmy w odwiedziny z Leoncina. Była jedyną kobietą w rodzinie o skłonnościach intelektualnych i dziadek często ubolewał nad faktem, że nie urodziła się mężczyzną.

- Baszewa ma męską głowę - mówił. - Szkoda, że jest niewiastą.

Matka była dumna, że jej ojciec omawia z nią podniosłe sprawy, a siostry zazdrościły jej. Nie znaczy to, że dopuszczał ją do konfidencji - ostatecznie była tylko kobietą. Po chwili rozmowy wypytywał o finanse, o dzieci, a w końcu - ze zgryźliwym uśmiechem - o męża:

- Jak on się miewa, ten Pinchas Mendel? Wciąż nie chce rozmawiać z gubernatorem? - pytał ze skrywaną drwiną.

- Tak, ojciec - wzdychała matka.

- No, cóż. Czas wracać do studiów - mruczał, powstrzymując się od jakiejś kąśliwej uwagi na temat zięcia. - Już dość czasu straciłem na czczą gadaninę...

A matka wracała do kobiecej części domu, gdzie prym wiodła babka.

Sam wolałbym zostać w kuchni pełnej kobiet i smakołyków, ale dziadek nie pozwalał mi tam siedzieć i ciągnął mnie do siebie do pokoju, do Tory i żydowskiej wiedzy.

- Miejsce chłopca nie jest w kuchni - mówił, a ja nie śmiałem mu się przeciwstawić, tak jak to robiłem w domu wobec ojca.

Już drugiego dnia po naszym przybyciu wysłał Szmula szamesa po melameda, reb Jehoszele, i zapisał mnie do chederu na okres naszego pobytu w Biłgoraju. Spałem w izbie rabinackiej dziadka na ławie, która podczas dnia służyła do siedzenia ludziom przychodzącym do niego po radę.

Dziadek precyzyjnie, z zegarkiem w ręku, dzielił dobę na części. Dokładnie o wpół do jedenastej w nocy udawał się na spoczynek do sypialni, którą dzielił z babką, podczas gdy ja kładłem się w jego pokoju. Punkt o trzeciej rano wstawał, obmywał ręce, nastawiał samowar i siadał, aby aż do świtu studiować i pisać komentarze. Pracując, powoli popijał herbatę. Często budziłem się w środku nocy widząc jak siedzi nad księgami i pije herbatę; nie mogłem pojąć, jak jest w stanie pochłaniać tyle Tory i tyle herbaty. Duży pokój, zapełniony od podłogi po sufit świętymi księgami, był ciemny, twarz dziadka ledwo oświetlona i skryta pośród głębokich cieni. Mimo to czułem się bezpiecznie w jego obecności i zadowolony znowu zapadałem w sen.

Dziadek budził mnie dokładnie o wpół do ósmej. Obmywałem się, ubierałem, po czym szedłem do kuchni, gdzie babka, która także wstawała rano, aby przygotować śniadanie dla domowników, dawała mi szklanę herbaty z brązowym mlekiem, które przez całą noc pyrkotało na piecu. Dokładnie o ósmej dziadek szedł do bóżnicy znajdującej się w pobliżu. Wysoki stary budynek z masywnymi mosiężnymi żyrandolami i okrągłymi oknami, przez które wlatywały i wylatywały ptaki, pełen był prostych ludzi, którzy przychodzili pomodlić się przed rozpoczęciem pracy. Każdy z nich mówił „Dzień dobry, rabinie”. Dziadek modlił się żarliwie i głośno, co zupełnie nie pasowało do jego racjonalnych poglądów misnagda. Prości ludzie spoglądali na niego z miłością, dumni, że nie modli się w chasydzkich bóżnicach z bogaczami, ale pośród swojego ludu. Odgłosy modlitwy wznosiły się pod wysokie sklepienie i rozbrzmiewały głębokim echem. Nie śmiałem ruszyć się na krok od pulpitu dziadka.

Zaraz po modlitwie dziadek szedł do domu na śniadanie, które babka podawała mu w jego pokoju - chleb z masłem i kaszę z mlekiem.

W tajemnicy, żeby babka się nie dowiedziała, wkładał mi do ręki dziesięć groszy, żebym poszedł do sklepu monopolowego po małą butelkę wódki z zieloną nalepką. Lubił wypić łyczek po śniadaniu, ale wolał nie zdradzać się z tej słabości. Nie miał innych nałogów - nie palił tytoniu i nie wachał tabaki. Byłem dumny, że dopuszcza mnie do tej konspiracji.

Po śniadaniu dziadek drzemał przez dwie godziny. Robił to, ponieważ nie spał dość w nocy, a także dlatego, że nie chciał rozstrzygać żadnych kwestii po kieliszku wódki. Gdy ktoś przychodził w tym czasie po radę, wysyłano go do wuja Josefa.

Po dwugodzinnej drzemce, ni krótszej, ni dłuższej, dziadek wstawał i zabierał się do pracy. Jego izba była stale pełna kobiet szukających rady lub proszących o wstawienie się za chorych krewnych. Chociaż był misnagdem, racjonalistą, dziadek obmywał ręce i odmawiał modlitwę w intencji pacjenta, wymawiając śpiewnym głosem imię chorego i jego matki. Zjawiali się także rzeźnicy z ociekającymi krwią płucami lub wątrobami, które miały jakieś skazy, aby rabin orzekł czy są koszerne czy trefne. Szojcheci przychodzili, aby sprawdził ich noże do uboju rytualnego.

W Biłgoraju było dwóch szojchetów, reb Lipe i reb Awrumele. Reb Lipe był krzepki, miał rozłożystą brodę i pejsy. Był spokojny, powolny, pewien siebie. Chodził niespiesznie, stawiając długie kroki. Rytualne noże, które nosił w szerokich eleganckich pochwach, były równie lśniące i budzące szacunek jak on sam. Z ważną miną otwierał pochwę, czyścił ostrze starą pończochą, po czym sprawdzał je o paznokieć kciuka.

Natomiast reb Awrumele był wysoki, chudy, rozkojarzony, płochliwy i zatroskany. Bródkę miał rozczochraną, głos piskliwy i wystraszony, długie palce niespokojne. Chociaż był wysoki, jego

przydługi chałat płątał mu się pod nogami. Zabrudzony był krwią i piórami, ubranie miał sztywne od zakrzepłej krwi. Z jego tylnych kieszeni wystawała zawsze miniaturowa jatka, bowiem miał zwyczaj wpychania w nie śledzion i jelit, które rzeźnicy dawali mu do zabrania do domu dla żony. (...)

Izba dziadka nigdy nie była pusta. Po szojchetach zjawiał się nie kończący się tłum interesantów. Często dziadek przywdziewał odświętne ubranie i w towarzystwie szamesa Szmula udawał się na uroczystość obrzezania, gdzie przypadał mu honor trzymania niemowlęcia. Ceremonii obrzezania dokonywano na specjalnej ławie wyłożonej jedwabiem, na której widniał napis „krzesło Eljasza”.

Dziadek zawsze uczestniczył w tych uroczystościach, ale nigdy nie zostawał na przyjęciach, nawet na tych wydawanych przez najbogatszych i najbardziej uczonych ludzi w mieście. Gospodarze dawali szamesowi Szmulowi piernik przybrany amuletami, aby zabrał go dla wnucząt rabina. Uwielbiałem te pierniki, chociaż szames Szmul trzymał je w kieszeniach spodni, gdzie przesiąkały smakiem i zapachem tytoniu. (...)

Pod koniec lata, z nadejściem miesiąca elul matka zaczynała przygotowywać się do powrotu ze mną i siostrą do Leoncina. Babka piekła nam na drogę mnóstwo ciastek oraz wyposażała w butelki z sokiem i słoiki z przetworami. (...) Jechaliśmy przez miasteczka, wioski i lasy lubelskiej guberni, zwanej przez Żydów „włościami ubogiego króla”, przez żydowskie miasteczka przywołujące na pamięć czasy straszego Bohdana Chmielnickiego; miasteczka o nazwach takich jak Zamość, Szczebrzeszyn, Goraj i Józefów, miasteczka o starych bóżnicach i cmentarzach, kościołach, wieżach i obszernych okrągłych rynkach otoczonych drewnianymi straganami, przy których siedzieli kramarze i przekupki; miasteczka, w których szamesi wciąż wzywali Żydów na modlitwę przed świtem, gdzie pomocnicy melamedów odprowadzali dzieci do chederu ze śpiewem na ustach, gdzie dobosze bębnil na rynku w bębny obwieszczając najnowsze zarządzenia i przynosząc nieco wieści ze świata, gdzie chłopcy i dziewczęta ozdabiali żydowskie domy na święta lwami i jeleniami wciętymi z papieru, miasteczka, gdzie Żydzi byli bardziej Żydami, a goje bardziej gojami niż gdziekolwiek indziej w Polsce. Bowiem w żadnej innej okolicy polscy chłopcy nie nosili takich długich włosów, często sięgających ramion, ani takich kolorowych kapeluszy z chwościkami w rogach, ani takich długich, haftowanych sukman, kolorowych pasów i wyszywanych trepów. (...) Nigdzie indziej w Polsce chłopki nie nosiły takich wysokich, sztywnych czepców i barwnych, wysoko upiętych chust, które nazywano „chamulkami”. W żadnym innym regionie nie mieszkało tylu Rusinów, chłopów noszących rubaszki, łapcie z łyka, albo chodzących boso i mówiących po

chachlacku, gwarą określaną przez Żydów mianem „jewanisz”.

Zarówno Żydzi jak i goje we „włościach ubogiego króla”, lubelskiej guberni, byli bogobojnym, barwnym i staroświeckim ludem. Daleko od linii kolejowej i wszelkiej cywilizacji, tereny te wydawały się nietknięte przez czas, oddzielone gęstymi lasami od zewnętrznego świata.

Po dwóch dniach powolnej jazdy furmanką i koleją docieraliśmy z powrotem do domu do Leoncina. Witał nas tam dźwięk szofaru, baraniego rogu, w który dęli młodzieńcy w domu modlitwy, aby obwieścić Jamim Noraim, Straszne Dni miesiąca elul.